

c.d.

## Rozgłośnia na Stalina

<< 6 | G. Malanowski

należę do jego środowiska i zostaliśmy przyjaciółmi. Amerykańskie „hits”, zakazane w Polskim Radio, a słyszane jedynie z radia berlińskiego lub z amerykańskich stacji wojskowych AFN w Monachium i Frankfurtu, stały się sygnałem rozpoznawczym pewnej rozrastającej się grupy warszawskiej młodzieży. Trzymaliśmy się razem przez wiele lat. Wieczorami słuchaliśmy wspólnie „zakazanej” muzyki w mieszkaniach tych, którzy mieli lepsze radia. Szczególną popularnością cieszyła się codzienna, godzinna audycja „Music USA” lub „The Jazz Hour” nadawana po angielsku przez Głos Ameryki. Prowadził ją świetny komentator o nazwisku Willis Conover, o którym po latach ktoś słusznie napisał, że przyczynił się on do upadku komunizmu. Audycja zaczynała się zawsze tematem „Take the A Train” w wykonaniu Duke Ellingtona, która to melodia do dziś wywołuje u mnie gęsią skórke.

Ten prywatny klub inteligentnej, warszawskiej młodzieży był prekursorem późniejszych „oficjalnych” klubów młodzieżowych „Hybrydy”, „Stodoła”, czy wreszcie słynnej „Pionicy Jazzowej” piosenkarki Wandy Warskiej i jej męża, kompozytora i muzyka jazzowego, Andrzeja Kurylewicza.

Moje życie w Warszawie zaczynało nabierać barwy. Dzięki Józkwi

poznałem wielu muzyków, kompozytorów oraz znanego literata i propagatora muzyki jazzowej, Leopolda Tyrmanda. Tyrmand, autor poczytnych powieści, otoczony był aurą dysydenta, walczącego z komuną o otwarcie drzwi dla „zakazanej” muzyki amerykańskiej.

Piątego marca 1953 dzień zaczął się zimno i dżdżysto. Gdy przyjechałem na motocyklu do pracy, wyczułem, że coś się dzieje. Przed bramą stał motocykl BMW panów H. i Z. z Wydziału Ochrony, a obaj panowie biegali po pałacyku groźnie patrząc na mijanych pracowników. „Stalin umiera”, szepnął dyskretnie mój dobrze poinformowany szef Tazio, „rozgłośnia jest w stanie ostrego pogotowia, uważaj!”.

Wszyscy obcojęzyczni speakerzy kręcili się nerwowo po salonie pałacyku trzymając w ręku przygotowany żałobny tekst oznajmiający śmierć „Wodza Narodów”, który mieli odczytać „na żywo”, jak przyjdzie czas. Dyżurny inżynier rozgłosi imieniem Janek, błąd na twarzy stał przy konsolce reżyserskiej. Jego obowiązkiem było przerwanie audycji aktualnie odtwarzanej z magnetofonu i przełączenie linii transmisyjnej bezpośrednio do studia speakerskiego. Nikt tego przedtem nie sprawdzał bo było to surowo zabronione, wręcz nie do pomyślenia, więc nie wiedzieliśmy czy tekst czytany przez speakera dotrze „na antenę”. W drzwiach amplifikatorni stanęli panowie H. i Z., nie spuszczać biednego Janka z oczu. Zrobiło się jakby zimno.

Towarzysz Stalin umarł wreszcie po paru godzinach, co nam publicznie oznajmiono. Speakerskie anonse poszły szczęśliwie w świat i nikt nie został zaaresztowany za sabotaż. Dwie gorliwe pracownice autentycznie płakały, co zostało docenione przez Towarzystkę L.

Po kilku dniach zamiast w Aleje Ujazdowskie zacząłem do pracy jeździć w Aleje Stalina, tak je bowiem na cześć zmarłego „Wielkiego Nauczyciela” przemianowano. Rozgłośnia zaczęto nazywać „Rozgłośnia na Stalina”, ale poza tym na razie nic się nie zmieniło. Dwaj panowie z „ochrony” wzywali mnie nadal co jakiś czas na rozmowy w ich gabinecie na Noakowskiego, w którym drzwi wybite były dźwiękoszczelną tapicerką. Rozmowy były głównie monologiem i wyglądały zwykle tak:

„Wy, Malanowski, ciągle tego amerykańskiego dżezu i tego ługi-bugi słuchacie. Towarzysze się na was skarżą. Dajcie sobie z tym spokój, bo będzie źle.”

Albo: „Słuchajcie, Malanowski, co wy takie długie amerykańskie (sic!) włosy nosicie?”

Albo wreszcie, gdy obciąłem „amerykańskie” włosy:

„Malanowski, czy wy sobie żarty z koleżeństwa robicie? Wyglądacie jakby was z więzienia wypuścili. Wy tutaj demonstrujecie, czy co? Towarzysz L. was krytykuje, mówi, że dajecie złe przykłady koleżeństwu”.

Rudy towarzysz L. był słabo mówiącym po polsku komunistą z Francji i pełnił funkcję przewodniczącego ZMP w rozgłośni. Potrafił powiedzieć – „podzielmy się na grupy. Największy grub jest dla towarzysza Cwoka. Kto jest przeciwko?”. Nie miałem nic przeciwko grobowi dla Cwoka. Śmiałem się w duchu z „krytyki” towarzysza L., wkrótce jednak okazało się, że konsekwencje miały być poważne.

Niedługo potem złożyłem ponownie podanie o przyjęcie na Politechnikę Warszawską. Rok wcześniej mimo zdanego egzaminu zostałem odrzucony

„z braku miejsc”. Wszystkie moje dokumenty leżały więc od roku na Politechnice w posiadaniu Społecznej Komisji Rekrutacyjnej. Do tej Komisji została przesłana listownie aktualna, poufna opinia o mnie wystawiona przez Związek Młodzieży Polskiej z Polskiego Radia.

Tym razem było jeszcze gorzej - po prostu nie dopuszczono mnie do zdawania egzaminu wstępnego. Był to cios, ale już nie tak silny jak rok przedtem. Uodporniłem się przez ten rok. Gdy wszedłem do gmachu Politechniki aby odebrać swoje dokumenty, miła pani z komisji rekrutacyjnej patrząc mi w oczy, ukradkiem wsunęła w moją rękę opieczętowaną kopertę z napisem „POUFNE”. W domu otworzyłem kopertę. Była to owa opinia wysłana przez towarzysza L. z Zarządu Zakładowego ZMP w Polskim Radio.

Do dziś pamiętam tragikomiczne fragmenty, które cytuję w dosłownym brzmieniu:

„...cechuje go chęć i poryw (sic!) amerykańskiego stylu życia. Czy jest wrogo ustosunkowany do obecnej rzeczywistości nie wiemy, bo się nie wypowiada. Ale zachowanie jego wskazuje, że tak. Pochodzi bowiem ze środowiska drobnomieszczańskiego i jest przesiąknięty jego zgniłymi naleciałościami”.

Treść i forma tego elaboratu do złudzenia przypominają „Wyjątki z raportów milicyjnych” drukowane kilka lat później w studenckim tygodniku „Po Prostu”: „Zapodany na pochodzie pierwszomajowym rzucał spojrzenia antypaństwowe”.

Ale z taką opinią nie miałem żadnych szans...

c.d.n.

## Zapiski...

<< 21 | A. Lizakowski

powoli zacząć załatwiać swoje sprawy. Po takich wiadomościach, niektórzy najchętniej powróciliby tym samym pociągiem do Polski. Stałem na kamiennych nogach i nie pamiętam, abym myślał o czymkolwiek, po prostu słowa odbijały się ode mnie jak piłka od muru. Około szesnastej gruchnęła wiadomość: będą wpuszczać – i rzeczywiście zaczęli – tyle tylko, że wpuścili kobiety w ciąży, małżeństwa, kobiety samotne, kaleki, etc. Pojawienie się strażników tak poruszyło tłum, że wszelkie objawy sympatii, które zostały nawiązane podczas wyczekiwania, przysły jak bańki mydlane. Hasło z polskich kolejek pt. „kto pierwszy ten lepszy”, raz jeszcze dało znak o sobie i pomyśleć, musiałem jechać pół dnia i całą noc, aby się o tym przekonać. Czy warto było? Już niedługo przekonamy się.

Pierwsza lekcja zachodniej wolności poza nami. Moje obawy odeszły ode mnie jak ręką odjął. Nabrałem przekonania, że wszystkie te przeszkody są do pokonania. Obudziła się we mnie chęć walki, powrót oznaczałby poddanie się i narażenie się na kpiny kolegów. A tego najbardziej się bałem. Należało przełknąć gorzką pigułkę, nawet jeśli okaże się, że trzeba będzie przespać się na ulicy przez dwie, trzy noce. O powrocie nie myślę, towarzysze podróży zacisnęli zęby. O tym, że będziemy musieli prosić się, aby wpuszczono nas za bramę raję jakoś nikt z nas nie pomyślał. O tym, że aż tylu Polaków ucieka tworząc kolejki, też nie pomyśleliśmy. Widocznie kolejki weszły nam w krew stając się cechą narodową. Bez kolejek nic się nie liczy.

2 listopada 1981

Minął dzień Wszystkich Świętych. Myślą przebiegłem po pieszych cmentarzach. Oczami wyobraźni dostrzegłem twarze stojących nad mogiłami bliskich mi osób. Chciałbym, aby wymodlili spokój duszom zmarłych – i moją pomyślność. Nikt nie powinien uważać mnie za zmarłego, przynajmniej Halina, dla niej zawsze będę żywy. Moja miłość do niej jest trwalsza niż śmierć, teraz wiem o tym i zrobię wszystko, aby była ze mną jak najszybciej.

Pierwsza noc, spędzona w małym hotelu, w czystej pościeli. Pokój dwuosobowy, nieduży z umywalką i ręcznikami. Spałem w nim z Adamem i Alkiem, który chrapał jak niedźwiedź i wcale mu się nie dziwi, bo od dwóch dni nikt z nas nie spał. Druga noc spędzona na torbie podróży pod bramą, minęła spokojnie. Pod wieczór tłum topniał, wsiaakając w pobliskie ulice. Ci, którzy zostali pod bramą nie mieli pieniędzy na noclegi, albo bali się odejść od bramy. Niepotrzebnie, miejsce w kolejce liczyłyby się tylko wtedy, gdyby nie było kobiet w ciąży, dzieci, kalek itd.

Zawiązały się pierwsze przyjaźnie, nawet miłości. Przypadkowe, bo przypadkowe, ale zawsze związki uczuć ludzkich. Niektórzy świeżo poznani koledzy bez żenady opowiadają o swoich zamiarach wyjazdu do Australii albo Kanady, innym marzy się Południowa Afryka. Co tam będą robić nikt z nas nie pytał, oni chyba sami jeszcze nie wiedzą. Mało kto chciał, lub zamierzał pozostać w Europie, w Austrii czy w Niemczech. Europa była skórą weża, którą na wiosnę się zrzuca i ucieka jak najdalej.

Pod bramą poznałem magistra kolejniactwa z Łodzi, z którym gładko nawiązałem znajomość. Magister był weteranem w zdobywaniu bramy. Spędził pod nią już cztery noce i pięć dni. Należał więc do tych, co mogą poopowiadać – i z właściwą sobie

flegmą snuł historię o obozie i prawach nim rządzących, chociaż w środku jeszcze nie był. Opowiadał tonem tak bezstronnym i obiektywnym, że nawet uwierzyliśmy mu. Jego opowieści nie napawały nikogo optymizmem, ale mimo wszystko pragnienie osiągnięcia celu było jeszcze większe. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że będzie ciężko, kwestia, aby tym się za bardzo nie przejmować.

3 listopada 1981

W sobotę i niedzielę przybyło jeszcze więcej ludzi. Wbrew wcześniejszej zapowiedzi, że nikt nie będzie wpuszczany do obozu podczas weekendu, w sobotę późnym południem wprowadzono dzieci, kobiety w ciąży, małżeństwa. Samotni mężczyźni nie mieli szans. Niektórzy przerzucali przez bramę swoje paszporty. Żandarm zbierał je, wyczytywał niektóre nazwiska, resztę z powrotem odrzucał. Był to taki obozowy „toto- lotek”. Zaskoczyło mnie całkiem poprawne czytanie polskich nazwisk przez strażnika. Magister wyjaśnił mi, że większość strażników i personelu w tym obozie to Austriacy czeskiego pochodzenia, byli Niemcy sudeccy. Było też wśród nich dużo Słowaków i Węgrów.

Sobotnio-niedzielne popołudnia spędziłem z Magistrem na spacerach po miasteczku. Oglądaliśmy i podziwialiśmy przepych i cuda kapitalistycznego świata. Obaj po raz pierwszy za granicą, kosztowaliśmy przez szybką zakazanego owocu. Do sklepów nie wchodziliśmy, bo i po co, wystarczył nam same wystawy sklepowe. Podobnie jak ja, Magister przeżywał wewnętrzny szok. Pierwszy raz w życiu zobaczył to, co dotychczas widywał w Polsce tylko w zagranicznych katalogach lub filmach. Karmiliśmy oczy nasze widokami szynek, kolorowych telewizorów, butów sportowych, jeansów. Wszystko, o czym dotychczas mieliśmy mgliste pojęcie,

teraz tutaj na własne oczy mogliśmy zobaczyć. Czy upadliśmy na kolana? Nie, przecież byliśmy przygotowani na to, że właśnie tak nasz raj ma wyglądać. Tyle różnych opakowań kaw i herbat w życiu nie widzieliśmy. Tyle gatunków owoców południowych, warzyw, wszelkich odmian jeansów, barwnych koszul flanelowych, butów skórzanych, szali, swetrów, papierosów, alkoholi. Krew burzyła się w nas i przelewała. Skronie rozbolały od wrażeń. Tyle gatunków chleba, masła, kielbas, czekolady. Byliśmy w prawdziwej krainie baśni, która naprawdę istniała.

Patrząc na wystawiony towar w witrynach sklepowych, przez cały czas rozmyślałem o Halinie, żałując, że jej tutaj nie ma. „Halina, żałuj, że się nie zdecydowałaś” – powtarzałem sobie w myślach. Zobaczyłem świat mieniący się kolorami i bogactwem różnorodności. „Taka jakość życia oczarowałaby cię, omamiła. Nie masz pojęcia jak bardzo mi ciebie brakuje tutaj”. Ale ona w niedzielne popołudnie zjadła już obiad i obejrzała czarno-białą telewizję. Może poszła do koleżanki albo siedzi w domu i myśli o mnie.

Z wielkim zainteresowaniem oglądałem suknie: „wiesz Halinko, ta czerwona, na pewno by ci się spodobała. Zobacz te przepiękne czerwone szpilki, pasowałyby jak ulał do tej sukni. Żadna księżniczka nie byłaby w niej od ciebie ładniejsza. Twoje rude rozpuszczone włosy, zielone oczy, nosek nakrapiany piegami, samo słoneczko pozazdrościłoby ci urody”. Chyba zwariuję, nie potrzeba tu żadnych zaklęć, czarów, bajkowych szafirów, wystarczy jeden dzień pracy, aby mieć taką sukienkę. Tam, nawet najwięksi teoretycy komunizmu nigdy by nie wyczarowali tego bogactwa. Oni tylko mogą, i to nie za bardzo, wydawać kartki na mięso i cukier, bony na samochody i na książki.

c.d.n.